NUMER 46. DNIA 12. LISTOPADA 1905 ROKU. ROK XIII.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Światopogląd religijny.

(*Albert Kalthoff: Światopogląd religijny. Mowy. Przekład z upoważnienia autora. Kraków. Spółka nakładowa „Książka“. Warszawa G. Centnerszwer i Spółka.*)

W życiu duchowem człowieka wyróżniamy dwie dziedziny, dwa światy, aczkolwiek licznymi sploty połączone z sobą w jedną nierozerwalną całość, to wszakże samoistne: dziedzinę umysłowości i dziedzinę uczuciową. Myśl roznieca światło, rozprasza ciemności, rozszerza nasz widnokrąg; uczucia wytwarzają tę ciepłą atmosferę, która sprzyja rozwojowi naszej osobowości i samemu życiu nadaje większą ponętę i urok. Myśl usiłuje poznać, zbadać wszystko, co istnieje, od samego początku, całą przeszłość; przeciwnie uczucie wciąż się rwie ku przyszłości, nietylko wiąże z nią teraźniejszość, ale pragnęłoby niejedno wskrzesić, ożywić z przeszłości. We wzorach życia rodziców i osób starszych, we własnem doświadczeniu życiowem, człowiek czerpie tę mądrość praktyczną, która mu służy ku temu, ażeby nie stał się on ciężarem dla siebie i dla innych; ale prawdziwe pożądanie życia poczucie wysokiej onego wartości, tkwi w przyszłości, która ma spełnić, ziścić oczekiwania i pragnienia. „Przeszłość – powiada Enfantin — przewodniczy naszemu rozumowi, naszej mądrości, naszej godności; przyszłość wznieca nasze pragnienia, nasze nadzieje, nasze poświęcenie się, naszą miłość“.

Wytworem myśli pracującej jest wiedza, nauka. Badania, rozbiór, analiza, krytyka — to właściwe jej sposoby i drogi. Jak anatom kraje trupa, ażeby poznać budowę ciała, — tak ona bezwstydnie zdziera wszelkie zasłony, obnaża wszystko i stara się przeniknąć do najgłębszych skrytek; ostrzem skalpela bezlitośnie pruje kształtne formy, wyosobnia tkanki i włókna, wydziela najdrobniejsze cząstki, wreszcie miażdży, tłucze, a nie mogąc już badać gołem okiem, bada dalej pod mikroskopem i w retorcie chemicznej. Wytworem zaś życia uczuciowego, jego drgań i falowań, jest poezja, poezja w najszerszem jej znaczeniu, poezja wygłaszana słowem, śpiewana, grana, malowana, jeszcze szczytniejsza — zdaniem Mickiewicza — poezja czynów i wreszcie ta wielka poezja, która zespala, łączy, wiąże człowieka z ludzkością i z całym światem, a którą nazywamy religją. Religare— znaczy wiązać, łączyć.

Wiedza opiera się na poznaniu, poezja czerpie siły swego lotu w wyobraźni. Kalthoff słusznie podnosi wielkie znaczenie poezji w poznawaniu świata, lecz za daleko idzie, mniemając, że jest ona najcenniejszem źródłem prawdy, najżywotniejszą, najbardziej ludzką jej formą. Wyobraźnia, jeżeli nie przyświecają jej jasne myśli, wytwarza mamidła, dziwadła, straszne potwory, które kładą się ludziom w poprzek ich drogi do postępu, do doskonalenia się. W zgodnem tylko małżeństwie pozostając z myślą badawczą, wyobraźnia jest zdolna ją oskrzydlać i wspiera ją siłą swego lotu, kiedy ta w uciążliwej drodze staje bezsilna przed piętrzącemi się przeszkodami I poezja wówczas tylko przedstawia wysoce wartościową potęgę, jeżeli czerpie swoją treść z ducha badawczego ludzkości, jeżeli ujawnia jego pragnienia i nadzieje, jeżeli ma przed sobą piękny, świetlny ideał, ideał wieku młodzieńczego: wiary, cnoty, i miłości i swobody — jak głosi nasz Bohdan.

Obejmując coraz większe obszary i wnikając coraz dokładniej we wszystkie zjawiska, wiedza rozpadła się na liczne działy, a każdy z nich ma tak rozległe pole, i tyle na niem jest pracy, że życie ludzkie starczyć nie może. Uniwersalnie uczonym

dzisiaj być niepodobna. A jednak dla każdego człowieka, zwłaszcza pracującego umysłowo, niezbędną jest rzeczą mieć ogólny pogląd na cały świat, na wszystkie jego objawy, ponieważ to nie tylko jest potrzebą łaknącego wiedzy ducha ludzkiego, ale jeszcze i dlatego, ażeby mieć przed sobą kaganiec światła, wstępując na ciemne, mało lub wcale jeszcze niezbadane bezdroża. Tym kagańcem światła jest pogląd filozoficzny, który daje filozofja, oczywiście pozytywna, skupiając promienie ze wszystkich działów wiedzy w jednem i całkowitem jej uogólnieniu. Filozofja jest syntezą całej wiedzy, jest jej uwieńczeniem, najwyższym jej szczytem. I z tego powodu filozoficzny światopogląd może być tylko udziałem ludzi dojrzałej i wykształconej już myśli. Tymczasem u każdego człowieka, od lat jego dzieciństwa, wciąż powstaje i dręczy go pytanie: co to takiego i niebo, i gwiazdy, i słońce, i kwiaty, i ptaki, i skąd się to wszystko wzięło, i po co to wszystko istnieje? Każdy odczuwa potrzebę mieć pewny pogląd na świat, ażeby myśli jego znalazły jakąś ostoję i mogły swobodniej podążać w pewnym kierunku i ku pewnemu celowi. Taki pogląd daje religja.

Światopogląd religijny nie powinien jednak się różnić od filozoficznego co do głównych prawd w nim zawartych; inaczej bowiem albo jeden albo drugi musiałby być błędny, a ponieważ światopogląd filozoficzny jest płodem pracy myśli, wynikiem wiedzy, światopogląd zaś religijny jest sprawą wiary i wytryskiem naszych uczuć, przeto szala pierwszego musiałaby przeważyć, i wierzenia religijne przedstawiałyby się co najwięcej jako poetyczne złudzenia. Tak też osądził całą tę sprawę racjonalizm XVIII stul. Zawyrokował on, że religja nie tylko nie jest niepotrzebną, ale nadto wywiera ona szkodliwy wpływ, podtrzymując przesądy wszelkiego rodzaju i rozniecając fanatyzm wzajemnej nienawiści pomiędzy ludźmi.

Nie rozumiano istoty religji. Jakkolwiek dogmatyczna, czyli nauczająca jej strona ma ważne znaczenie, to jednak nie stanowi ona wszystkiego w religji. Jak bowiem nauka, oprócz podania pewnego zasobu wiadomości, rozwija nasze zdolności umysłowe, uczy nas myśleć, rozumować, prowadzi nas do samodzielności myślowej; tak religja kształci nasze serce i charakter, rozwija szlachetne uczucia, poskramia złe popędy, wzmacnia wolę, wytwarza poczucie godności osobistej i niezależność duchową.

(Dok. nast.)

Bolesław Limanowski.

1 i 2 listopada 1848 we Lwowie.

(Dokończenie.)

Układy, w których z ramienia miasta brali też udział ks. Sapieha, hr. Rozwadowski, adwokat Gnoiński i księgarz Milikowski, przeciągnęły się niemal do samego rana, a ostatecznie stanęło na tem, że wojsko porobi luki w swych szeregach, któremi wszyscy z rynku wyjdą literalnie, po poprzedniem zburzeniu barykad. Tymczasem to właśnie zarządzenie stało się dalszym powodem nowych awantur, które rozpoczęły się 2 listopada. Wojsko stało przez całą noc pod bronią na swych miejscach.

Godzina szósta rano była przeznaczona, jako termin rozejścia się gwardji i ludu z Rynku. Już zaraz w kilku miejscach powstały drobne utarczki, podczas ich przechodzenia wzdłuż szeregów wojskowych zażegnane tylko dzięki interwencji oficerów gwardji, a na co nawet uskarża się w swoim raporcie jenerał Wybranowski.

Daleko groźniej i w swym przebiegu i w swych skutkach przedstawia się awantura na placu św. Ducha. Stał tam oddział Deutschmeistrów, pilnując rządowego budynku, otóż rano koło nich, przechodziło 4 gwardzistów. W tem zostali nagle zaczepieni przez kilku żołnierzy. Jeden z gwardzistów coś powiedział. Wtedyto jeden z oficerów schwytał go za pierś, a czując się bezpiecznym wobec tego, że i reszta oddziału go otoczyła, rzucił go na ziemię, i razem z całym oddziałem, że tu posłużę się słowami aktu oskarżenia: „Fing denselben mit ihren Gewehren zu miscanadeln".

Gdy zobaczono z okolicznych domów takie wyraźne pogwałcenie zaręczeń komenderującego, dano do wojska kilka strzałów, przyczem dwu żołnierzy zostało rannych. Na to cały oddział począł strzelać w kierunku kamienicy, z której strzelano.

Rano, gdy już postanowiono opuszczać śródmieście i znosić barykady, z arsenału, stojącego obok kościoła Dominikanów wysłano patrol z 12 artylerzystów, wybranych do tego na ochotnika.

Gdy ten oddział przybył na plac Dominikański, strzelano do niego z barykady tam stojącej, przyczem został zraniony podoficer i jeden żołnierz, na co rozpoczął się ogień obustronny i z barykady i z okien i od wojska, które się poczęło cofać, póki mu nie przybyła piechota z pomocą. Wobec tego więc, Hammerstein wydał rozkaz do bombardowania, z tem, by mierzono szczególniej w siedziby buntu t. j. w ratusz, aulę i gmach starego teatru.

Bombardowanie to przerwanem zostało interwencją namiestnika a trwało około kwadransa, bo rozpoczęło się około $^{3}/_{4}$ na 10 a trwało do 10-ej.

Strzały te dolały tylko oliwy do ognia. Jeszcze przedtem, główny kierunek wzburzonych żywiołów spoczął w rękach emigranta Domagalskiego, który chodził się nawet przedstawić w swej nowej godności, jako dowódca miasta z czerwoną szarfą do gubernatora i komenderującego, nigdzie naturalnie nie będąc przyjętym.

Teraz więc na widok strzałów zapanowała ogólna konsternacja.

W rynku zostały tylko bardziej zapalne żywioły, bo spokojniejsi przedtem o ile możności pochowali się; pozostałe więc gromady, zdeterminowane na wszystko i o nic się nie troszczące, chciały ze Lwowa zrobić drugi Wiedeń, o którym rozeszła się właśnie wieczorem poprzedniego dnia wieść, że zwyciężył.

Gdy więc teraz ogień armat, które coraz więcej waliły z różnych punktów, jak z zamku, od koszar Ferdynanda i wałów ustał za okazaniem się białej chorągwi na wieży ratuszowej, wzburzony tłum wywarł całą swą nienawiść na razie na tej białej chorągwi, którą zrzucił, a wywiesił czerwoną jako swoje godło. Prócz tego poczęto dzwonić na gwałt, a nawet w niektórych miejscach strzelać w kierunku wojska, które znowu ze swej strony, jak powiada porucznik 50 p. Krzandalski, oczekiwało szturmu na barykady, „mit Schussicht und der grössten Entschlossenheit“.

Nastąpiło teraz tem gwałtowniejsze powtórne bombardowanie. Strzelano ze wszystkich stron na śródmieście. Szczególniej zaś na krakowską ulicę, czego następstwem był pożar ratusza, uniwersytetu i starego teatru, zapalonych rakietami.



TEATR PO BOMBARDOWANIU
Akwarela Grabowskiego w zbiorach Ossolińskich.

Wobec tego, pojawiła się znowu biała chorągiew na wieży ratuszowej, która jednakże swego skutku jako oznaka poddania się, bo Hammerstein nie zaprzestał bombardowania, nie osiągnęła, spowodowała tylko rozjątrzenie u zgromadzonego tłumu, który też ją po krótkiej walce, wyrzucił i zawiesił znowu czerwoną.

Gdy teraz namiestnik zobaczył znowu sztandar buntowniczy na ratuszu, polecił usunięcie go Gno-

ińskiemu i Boczkowskiemu, co nawet się im udało, lecz to naturalnie nie przerwało bombardowania.

W rynku ratusz palił się dalej, bo strzelano wciąż materjałami palnymi, mimo, że Gnoiński prosił Hammersteina, by zaprzestał nimi strzelać.

Gdy jenerał Bordollo, który miał powierzoną sobie stronę wykonawczą rozporządzeń komenderującego, składał mu raport z poczynionych dla uspokojenia miasta kroków, zajechał przed generalną komendę dyliżans wiedeński, którego konduktor wręczył Hammersteinowi depeszę z Ołumuńca, donoszącą o zajęciu przez Windischgraetza, Wiednia.

Wiadomość ta udzielona sztabowi i wojsku, została radośnie przezeń przyjętą.

Pod wrażeniem więc tej nowiny, przy dźwiękach hymnu wkroczyły oddziały do śródmieścia zupełnie już uspokojonego.

Tu przedewszystkiem musiano się zająć gaszeniem ratusza, co przedtem nie mogło skutecznie nastąpić, wobec tego, że wojsko nie puszczało odpowiednich przyrządów i ludzi — dalej poczęto domową rewizję za osobami, które pozornie czy też rzeczywiście strzelały do wojska. Tak było w rynku, tak było i na kręconych słupach, gdzie aresztowało wojsko kilkanaście osób, ktokolwiek był tylko podejrzany, lub schwytany z bronią w ręku.

Liczba aresztowanych dosięgła wkrótce do pięćdziesiąt kilku osób.

Ludność zachowywała się teraz spokojnie. Zdobycie miasta obeszło się, mimo tajonych pragnień komenderującego, bez rozlewu krwi, lecz wobec tego, że stan oblężenia, stosownie do życzeń konspiracji „Wir“ musiał być na Lwów nałożony, wystarczał lada powód do tego.

Na drugi więc dzień t. j. trzeciego, pod błahym powodem, że padło rzekomo kilka strzałów na wojsko, Hammerstein wprowadził stan oblężenia, czyniąc tem zadość wszelkim wyższym wymaganiom.

Ogółem według wykazów urzędowych zabitych było osób 46, z czego przypada 10 kobiet, 1 dziecko i 35 mężczyzn, poważnie rannych zaś było 50, choć w rzeczywistości liczbę tę można prawie z pewnością podwoić, bo wielu kryło się z tem.

Z wojska jeden artylerzysta padł zaraz, a drugi z pułku piechoty Parma, rannych zaś było 15. Razem więc 17.

Bronisław Pawłowski.

JOHANNES JENSEN.

Amerykanin.

U Andrzeja Eriksena, wioskowego stolarza, wisiała przez długie lata para dziwnych butów. Nie były one ani szyte, ani kołkowane, lecz sporządzone z jednego kawałka gumy, a tak wysokie, że dorosłemu mężczyźnie sięgały do bioder. Były to buty, używane przy kopaniu złota. Stolarz Andrzej nie nosił ich, a gdy chłopcy nieraz zawdziali je do brodzenia po stawie, nie wolno im było mieć ich na nogach dłużej nad kilka minut; doktor miejscowy bowiem orzekł, że nogi w tego rodzaju butach nie mogą „oddechać“. Czuć je też było trucizną czy jakimś lekiem, a kiedy woda oblepiła miękkie cholewy naokół nóg, czuło się wyraźnie, jak one poczynały usychać. Buty te były w poszanowaniu wielkiem. Ludzie, którzy wchodzili do warsztatu Andrzeja, stolarza, widząc je wiszące na ścianie, przenosili się myślą w dzikie kraje, w odległe regiony, gdzie się kopie złoto, a od których stronią porządni ludzie. I w pobożnej ciekawości wypytywali się o Lavsta Eriksena, ojca Andrzeja, gdzie przebywa obecnie, czy syn słyszał co o nim i czy nie spodziewa się niebawem po nim spadku.

Andrzej tylko głową trząsł na te pytania. Przestano więc pytać, a w końcu zapomniano o Lavscie Eriksenie. Poszły też w zapomnienie i buty, wiszące u pułapu i twardniejące wśród pajęczyn.

Stolarz Andrzej poznał się ze swoim ojcem, „dostał ojca“, jak się wyrażali dowcipnisie w dwudziestym dziewiątym roku życia. Dotąd nie widział go nigdy. Matka odumarła Andrzeja, kiedy był małym chłopcem a wtedy już znikł był ojciec. Gdy Andrzej chodził do szkoły, mieli koledzy największą przyjemność w dokuczaniu mu opowiadaniami, że miał ojca, imieniem Lavst, który pewnego pięknego dzionka uciekł od matki, od niego i całego domu. Od kiedy dorósł i z pomocą dobrych ludzi nauczył się rzemiosła, przyzwyczaił się odpłacać im tem, że spokojnie słuchał, gdy współczujący ludzie opowiadali mu o łajdactwie ojca, który uciekł do Ameryki. Andrzej był to chłop cichy, nie było w nim złości, długi, chudy, wyciągnięty był jak uosobiona wdzięczność, blady, z piersią zapadniętą, — on nie zaczepił by nikogo. Obecnie robił trumny, jak gdyby w ten sposób chciał się zemścić możliwie najciszej.

Swojego czasu podobne losy przechodził Lavst Eriksen. Był najpierw chłopcem do posługi, potem

parobczakiem, wreszcie zaawansował na parobka, sam się utrzymywał i wyrobił sobie wielką siłę. W nieszczęśliwą godzinę zawiązał stosunek z jakąś dziewczyną i przy niej pozostał. Nieszczęście nigdy nie chodzi samopas. Lavst „kochał" dziewczynę, to znaczy przyjemność traktował poważnie i postanowił przyjąć na siebie następstwa grzechu, co dowodzi pychy i czego nie przebaczają ludziska, wymagający, aby wszyscy byli równymi im nicponiami. Lavst pozwolił sobie rządzić się uczuciem i został wykluczony ze swojej kasty.

Taki człowiek musi wszystko zaczynać od początku; w czasach Lavsta nie pozostawało mu nic innego, jak zabrać się do obrabiania wrzosowiny. Za uskładane sto talarów kupił sobie kawał wrzosowiny i pewnej niedzieli widziano go wraz z kochanką, oglądających z naiwną radością „parcelę" jak państwo, którzy sobie wyszli na przechadzkę. Szukali miejsca pod budowę. Ku zgorszeniu ludności w Graabölle obrali sobie miejsce wysoko położone, na pagórku, z „widokiem", jak gdyby nie odpowiedniej dla nich było wcisnąć się gdzieś w dół, gdzie biedacy, wiedząc, co im przystoi, zwykli stawiać swoje domostwa. Przez zimę Lavst nagromadził kamieni i rozmaitego starego budulca na szczycie pagórka, a na wiosnę rozpoczął budowę. Była to napół lepianka, gdyż izbę wykopał w ziemi, obłożył ją olbrzymimi głazami i przyrzucił wrzosem. Przyszedł mu też do głowy nierozsądny pomysł, obok tego pałacu wbić pal na chorągiew! Kupił go na licytacji, pomalował w białe i czerwone spiralne linje i w dniu, kiedy młoda para przeniosła się na własną siedzibę, powiewała chorągiew ponad pustkowiem. To musiał odpokutować.

I oto stanęli Lavst z Mettą Chrystyną w obec perspektywy dwudziesto- lub trzydziestoletniej pracy, jeżeli chcieli wyłącznie rękami własnemi oczyścić pole z wrzosowiny, aby się stało dobre pod uprawę. Ostatecznym celem było wolne posiadanie chałupy z dwiema krowami i dwudziestu owcami — wszystko to jeszcze znajdowało się w bardzo odległej przyszłości. Na razie w chacie nie mieli nawet kota. Lavst chodził na robotę i w Graabölle zarabiał dziennie tyle, że zaledwie starczyło im na wyżywienie. W wolnych chwilach zabierał się Lavst do swojej Herkulesowej pracy wyrywania wrzosu — z żadnym skutkiem. A ludzi to gniewało, że nie porzucił roboty, inaczej byliby mu chętnie pożyczyli to pługa, to parę wołów. Lavst był uparty, a z tego nic nie przyjdzie młodemu dziadowi. Gospodarze patrzyli na niego ze złością, a biedniejsi nienawidzili go, że się odosabniał. Pewnej nocy Sylwestrowej zebrali się i uradzili na żart ściągnąć liną dach z nad głowy młodej pary. Lavst wyszedł z chaty i kilku z pomiędzy figlarzów obił dobrze. Odtąd odprawiono Mettę Chrystynę z zagród, gdzie zwykła była otrzymywać trochę mleka. Gorzej było, gdy zwolna gospodarze poczęli nabierać przekonania, że się mogą obyć bez Lavsta, który był bardzo zarozumiały na swoją robotę. Ostatnim, ktory mu jeszcze dawał zarobek, był Tomasz ze Spanggardu, ale i z nim posprzeczał się pewnego razu i został oddalony. I oto został ze swojemi rękami olbrzyma, dla których nie było pracy i zajęcia.

Wściekłość ogarniała wszystkich, gdy Lavst jeszcze pół roku potrafił się utrzymać. Nabył prawo wycinania torfu na bardzo dobrych warunkach, gdyż był to lichy torf, ale Lavst wynalazł sposób ugniatania go i obrabiania, jak się obrabia kamień, przez co nabierał dobroci. Praca to była wielka, lecz k edy Lavst nawiązał stosunki z miasteczkiem i zaczął tam wywozić swój wyrób, zarobek miał z tego dość znaczny. Zapłata za kopanie torfu wynosi najwyżej dwie marki, Lavst przez zręczność swoją dochodził podobno do sześciu. Ale człowiek, od którego wydzierżawił mech, nie mógł tego znieść i wytoczył mu proces, utrzymując, że Lavst miał prawo kopać tylko na własny użytek, a nie na handel. Lavst przegrał. Najbliższej zimy poznali się z głodem. Kroniki sobie o tem opowiadano, cierpieli pono taki głód, że kości w nich trzeszczały. Prawie nigdy nie widziano, aby dym szedł z ich komina. Lavst zjawiał się co dwa tygodnie lub co miesiąc u przekupnia po funt słoniny, a ludzie zachodzili w głowę, skąd miał pieniądze? Wychudłą twarz zakrywał ogromną brodą. Szedł cztery albo i pięć mil, aby zarobić przy młócce markę i dwa szyllingi. Widywano go też na targu w innym powiecie, sprzedającego wyrobione ze zwierzęcych kości przyrządy do czyszczenia fajek, których nikt nie chciał kupować. Około Wielkiej Nocy kręcił się w tych stronach jakiś Mormon, a pod wiosnę znikł Lavst Eriksen. Ludzie nie posiadali się z oburzenia.

Mecie Chrystynie i chłopcu wyszło to niemal na dobre, bo skoro ten hardy kark ustąpił z drogi, mogli przecież pokazać się we wsi, gdzie im nie pożałowano chleba. Straszne stosunki znalazła Rada miejscowa w chacie. Metty Chrystyny nie mogły ocalić ani starania, ani jadło — umarła. Chłopca drogą licytacji przyznano jakiejś gospodarskiej rodzinie, a później oddano go do terminu, do stolarza. Osiadł w tej samej wsi i miał już rodzinę,

kiedy człowiek, który był jego ojcem, pewnego razu zjawił się znów w tej stronie.

Z dyliżansu wysiadł pewnego razu pod gospodą jakiś nieznajomy z blaszanym kuferkiem. Nikt go nie znał, on się też nie przedstawiał nikomu. Na kuferku naklejona była kartka z napisem „Red Star Line“, z czego wnoszono, że nieznajomy przybył z Ameryki. Ale był Duńczykiem. Pojawienie się jego sprawiło we wsi ogromne wrażenie, nazwano go „Amerykaninem“ i nie mówiono o niczem innem, tylko o tej wielkiej osobistości, która zajechała do gospody i nic nie robi, jeno siedzi za stołem i przygląda się ludziom. A spojrzenie miał bystre, co sprawiało, że ludzie byli ostrożni, zresztą nie wyglądał na złego człowieka. Ubrany był z cudzoziemska, ale dość ubogo, ogolony jak wszyscy, tylko na podbródku miał zarost. Mówił niewiele. Pewnego razu jednak nadszedł jakiś stary człowiek, który go poznał. Odtąd wiedziano już, a przeważna część uczuła się tem niemile dotkniętą, że był to Lavst Eriksen, który po dwudziestodziewięcioletniej nieobecności powrócił z Ameryki.

Tego samego dnia zaszedł Lavst do wsi i przywitał się z synem. Spotkanie wzruszającem nie było zgoła. Postarali się o to ludzie i uprzedzili Andrzeja stolarza o przybyciu ojca. Stał więc syn i spokojnie heblował. Nie przerwał pracy, lecz szybko podniósł oczy i skinął głową na powitanie. Lavst Eriksen chwilę patrzył na warsztat i syna, poczem odezwał się cichym głosem:

— Dzień dobry, Andrzeju!

Andrzej hebluje dalej uważnie.

— No, jestem przecież twoim ojcem...

— Słyszałem o tem — odpowiada Andrzej prędko. Spojrzał żywo na ojca, uderzony jego cudzoziemskim akcentem.

Milczenie.

Lavst przypatrywał się synowi, który gorliwie obrabiał heblem deskę, odrzucając długie, kędzierzawe wióry. Andrzej był wysoki, szczupły, miał duże szczęki i oczy osłabione, nogi krzywe i okrągłe plecy, a kark chudy, z dołkiem, jak dziecko. Podobny był zupełnie do matki. Lavst oczyma wciąż po nim wodził. Milczenie.

W tem żona Andrzeja otwiera drzwi od izby, wsuwa rozczochraną głowę, spostrzega obcego i bez słowa cofa się znowu. Milczenie.

— Skąd bierzesz drzewo? zapytał Lavst Eriksen łagodnie, patrząc na stosy desek i belek spiętrzonych pod pułap. Zwłaszcza wpatruje się w małe zawiniątko, na którem leży kilka płyt mahoniowych i wystają końce innych gatunków szlachetnego drzewa a oczy mgłą mu zachodzą. Andrzej przerywa pracę, idzie wzrokiem za spojrzeniem ojca i wsuwa rękę pod skórzany fartuch. Długo namyśla się, w końcu patrzy na ojca a twarz jego przybiera zupełnie bezmyślny wyraz, aby staremu odebrać wszelką nadzieję.

— Kupuję u Svendsena z Hvirresundu.

Bezdźwięczny głos przykro dotyka starca. Stoi jeszcze kilka minut i wodzi oczyma po rozmaitych rzeczach w zadumie, poczem odzywa się nieśmiało w kierunku synowskich pleców.

— No — tak. Możemy przecież pogadać o tem, Andrzeju. Myślę, że pozostałbym...

Tu daje się słyszeć szelest za drzwiami, gdzie stała żona Andrzeja i podsłuchiwała. Syn hebluje dalej i podnosi deskę, aby się przyjrzeć pod światło, czy jest równa.

— Skrzywdziłem cię — rzekł Lavst Eriksen trochę drżąco. A gdy Andrzej zdaje się nie słuchać, tylko stoi i ustawia lepiej hebel, milknie stary i spokojnie, badawczo przygląda mu się. Nakoniec zrezygnowany skinął mu głową i odwrócił się do drzwi:

— Godbej!

Na dworze przystanął nieco, popatrzał na dom syna, zmierzył jego wysokość, obejrzał dwa nagie krzaki agrestowe w „ogrodzie“ i różę ślazową pod samym murem. Poczem szybkim krokiem wrócił do gospody. (Dok. nast.)

Tłum. Józefa Klemensiewiczowa.

Sen i marzenia senne.

(Streszczenie odczytu wygłoszonego w Towarzystwie przyrodników polskich im. Kopernika.)

(Ciąg dalszy.)

Z tych przykładów widzimy, że warunki zewnętrzne są w stanie przekształcić przyzwyczajenia dziedziczne, odnośne do pory snu. Toż samo da się powiedzieć i ze względu na długość snu, i jego głębokość. Znałem ludzi nauki, dla których trzy godziny snu na dobę wystarczało najzupełniej. To, co się rzekło o śnie porodniowym, daje się najzupełniej zastosować i do snu pojadlnego i tu warunki zewnętrzne potrafiły wykształcić najrozmaitsze typy odpoczynku poobiedniego, prawie każdy człowiek ma sobie właściwy sposób spania i właściwą długość snu, wielce różne nawet w zakresie jednej rodziny, to też daje się w tych wypadkach

wszystkich sprawdzić słuszność przysłowia, „że przyzwyczajenie jest drugą naturą. W całej różnorodności snu pozostała jedna tylko wspólna cecha dla spoczynku pojadlnego, że przy wypełnionym żołądku czynności życiowe, tak dobrze mięśniowe, jak i mózgowe, stają się mniej dokładnemi i że w tym stanie odczuwa się potrzebę odpoczynku dłuższego, lub krótszego, stosownie do przyzwyczajenia bądź dziedzicznego, bądź też osobnikowego.

Sen tedy człowieka, tak jak sen zwierząt, jest przyzwyczajeniem, najzwyklej dziedzicznem, podległem modyfikacjom rozmaitym, może więc on być zmieniony w tym lub owym kierunku. Człowiek, poddany tresurze rozumnej i racjonalnej, potrafi na drodze postępu zmienić swoje przyzwyczajenie i dziedziczne i nabyte. To, co się nam dzisiaj wydaje być koniecznością, może się z czasem okazać zbędnem i niepotrzebnem. Tę zasadę powinniśmy stosować tak dobrze do snu, jak do jadła i do picia. My dzisiaj śpimy za długo, jemy za wiele, a pijemy najniepotrzebniej i przyszła racjonalna hygjena zdoła wprowadzić ład i porządek w naszych zwyczajach, w naszych nawyknieniach. W obecnej dobie życia naszego akt wypoczynku ma być rzeczą ważniejszą dla człowieka, niż sam akt spożywania pokarmów. Wielu uczonych jest tego zdania, że dany osobnik dłużej wytrzyma głód, niż brak snu. Tak np. człowiek może jakoby żyć bez pokarmu cały miesiąc, ale bez snu, powiadają i tygodnia nie wytrzyma; wprawdzie doświadczeń w tym kierunku przedsiębranych nikt nie robił, a powoływanie się na ową karę śmierci, wymierzoną rzekomo na przestępcach w Chinach, zmuszanych do bezsenności, okazała się zmyśleniem fantastycznem. Według moich spostrzeżeń, nabrałem tego przekonania, że człowieka, lub zwierzę zagłodzić można, ale zabić bezsennością nie podobna. Tak n. p. człowiek, zmuszony do ciągłego czuwania przez parę dni, zapada następnie w rodzaj letargu, z którego zbudzić go niemożna, ani bolem dotkliwym, ani innymi środkami gwałtownymi, leży on bezwładny, nieruchomy, nie reagując na żadne podniety. Taki wypadek obserwowałem podczas naszej podróży przymusowej, trwającej bez chwili odpoczynku, na przestrzeni pomiędzy Moskwą a Tobolskiem. Kolega i towarzysz w naszej podróży na Syberję, Warszawianin, August Kręcki, zmęczony bezsennością, zasnął tak twardo, że ten sen jego letargiem nazwać byłoby można, w perjodzie tego snu wypadł był on z kibitki, podczas jazdy w noc ciemną. Pędzący cwałem cały tabor, złożony z 27 kibitek, przegalopował mimo leżącego na ziemi a strzegący żandarmi obejrzeli się za zgubą swoją dopiero o dobrą staję od miejsca wypadku. Zatrzymano tabor, żandarmi, wiozący Kręckiego, wrócili i znaleźli go leżącego na gościńcu, jak sądzili nieżywego; przywieziono śpiącego na stację, próbowano przywrócić do przytomności rozmaitymi środkami, ale to się nie udało, dopiero po kilkunastu godzinach snu głębokiego ocknął się sam przez się. Podobnych wypadków widziałem kilka podczas mojego pobytu na Kamczatce, gdzie ludzie, znużeni bezsennością, zasnąwszy, nie reagowali na bodźce zewnętrzne, to też nie sądziłbym, ażeby ze zwierzętami było inaczej, lecz pani Marja Manasseinowa miała dokonać doświadczeń naukowych nad szczeniętami i wykazać, że one giną w skutek bezsenności przymusowej daleko prędzej, niż z głodu. I tak szczenięta, którym spać nie dawano w ciągu 4 do 5 dób, ginęły wszystkie, przyczem traciły na wadze zaledwie 5% do 13% ciężaru ciała, wtedy, gdy psy głodzone, zanim zginą z osłabienia, tracą $\frac{1}{2}$ wagi ciała swego.

Potrzeba snu zależną być ma od ilości pracy umysłowej wykonanej, a następnie od wysokości rozwoju inteligencji danego osobnika. I tak powiadają, że im większą była praca umysłowa wykonana, tem większą jest potrzeba snu, im wyżej intelektualnie stoi osobnik, tem bardziej sen dla niego jest potrzebny. Według mego zdania pogląd taki nie ma żadnego uzasadnienia. Znam np. kilka służących rusinek, są to młode, zdrowe dziewczęta, które mogą spać całe doby, od rana do wieczora i od wieczora do rana, nie wykonawszy żadnej pracy, ani umysłowej, ani fizycznej, a jednak t. z. potrzeba snu jest u nich bardzo wielką skoro siedząc zasypiają, a zaspawszy nie łatwo dają się rozbudzić. Kamczadale mogą spać całymi dniami i nocami i śpią tak twardo, że chcąc ich rozbudzić trzeba się długo przy tem namęczyć. Nieraz jadąc we dnie, po dobrej drodze zimą psami w Kamczatce, zmuszony byłem budzić co chwilę „kajura“, zasypiającego na koźle przedemną; psy czując, że woźnica śpi, zwolniły biegu, albo stawały i układały się do snu. Podobne przykłady snu bez zmęczenia, czy to filozoficznego, czy umysłowego, a tylko wywoływanego przyzwyczajeniem, bądź to dziedzicznem, bądź osobnikowem, napotykałem u „Chachłów“, osiedlonych w kraju południowo-assuryjskim, ich sybiracy nazywają „tarbaganami“ t. j. bobakami, albo inaczej spiochami. Spiączka jest u nich właściwością rasową, której pokonać nie umieją. Więc nie wyższa inteligencja, nie praca umysłowa i praca fizyczna gra przy śnie

główną rolę. Z drugiej strony miałem kolegę uniwersyteckiego w Dorpanie, Tołtyrzewskiego, który służył następnie w izbie obrachunkowej w Warszawie, ten od rana do godziny drugiej popołudniu pracował nad rachunkami w biurze, po objedzie natychmiast zabierał się do rachunków kupieckich, prywatnych i bywał w ten sposób zajęty do wieczora, poczem czytał i studjował matematykę, która była jego specjalnością, tak, że kładł się bardzo późno w nocy do snu, spał on nie więcej, jak pięć godzin na dobę i nigdy nie czuł się zmęczonym. Następnie znaną jest rzeczą, że Napoleon, przy ciągłej pracy wytężonej, spał zaledwie kilka godzin na dobę. Prof. Remak opowiadał nam w Berlinie, że przywykł był spać tylko trzy godziny na dobę.

(C. d. n.) *Dr. Benedykt Dybowski.*

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA

A. Sorel. „L'Europe et le revolution française“.

Jak Tocquerville w swej historji rewolucji francuskiej wyjaśnia jej przejawy wewnętrzne, tak znowu Sorel, w tem dziele, przedstawia jej stosunki zewnętrzne; a obaj zgadzają się z tem, że rewolucja nie była czemś oderwanem, czemś nagłem, lecz była dalszym ciągiem rozwoju dziejowego Francji starej, ludwikowskiej.

Sorel, przedstawiając w tem wielkiem ośmiotomowem dziele, stosunki, przeważnie dyplomatyczne, Europy do Francji, od wybuchu rewolucji, aż do r. 1815, nie pominął też i Polski.

Niestety autor nie zna języka polskiego i był przez to zmuszony ograniczyć się w sprawach polskich na źródłach obcych, niezawsze rzetelnie informujących. Szkoda wielka, bo autor z wielką sympatją do spraw naszych się odnosi. Mimo to jednak wiele jest ciekawych i trafnych sądów, tak np. pisząc o stronnictwach w Polsce przed wielkim sejmem, powiada, że niemal cały świat miał w Polsce swoje stronnictwo, z wyjątkiem samej właśnie Rzeczypospolitej, a dalej, że Polacy liczyli na wszystkich, tylko nie na siebie samych, co po raz drugi stwierdza przykładem przy wejściu Francuzów do Polski, i przy oddaniu się na służbę Napoleonowi.

A chociaż niektóre epoki są zbyt czarno odmalowane, jak ta przed sejmem czteroletnim, to jednakże tam, gdzie idzie rzeczywiście o jakieś idee szczytne, o porywy szlachetne, nie żałuje autor barw jasnych i tonów ciepłych. To też znakomicie wypadła charakterystyka (w czem autor celuje) Kościuszki.

Autor, sam były dyplomata przeznał na wylot arkana dyplomacji dworów sprzymierzonych, co niejednokrotnie odkrywa w sposób cięty, sobie właściwy.

Bronisław Pawłowski.

Oskar Wilde: Djalogi o sztuce. („Intentions“). Przedmowa A. Nowaczyńskiego. Przekład Marji Feldmanowej. Lwów 1905. Księgarnia Narodowa.

Dwa djalogi składają się na tę interesującą książkę. W pierwszym pt. „Zanik kłamstwa“ stawia wytworny krytyk-artysta następujące teorje „nowej estetyki“, które w krótkości brzmią mniej więcej tak: Sztuka nigdy nie wyraża nic innego, jak tylko samą siebie. Nigdy nie odzwierciedla swego czasu. Dlatego też wnioskowanie ze sztuki pewnej epoki o epoce samej jest kardynalnym błędem wszystkich historyków. Życie i natura mogą czasem służyć sztuce jako materjał surowy, ale wartość artystyczną mogą mieć dopiero wtedy, gdy sztuka przetopi je na język artystycznego konwenansu. Jedynie piękne rzeczy są te, które nas wcale nie obchodzą. — Życie znacznie więcej naśladuje sztukę, niż sztuka — życie. Wypływa to nietylko z naśladowczego popędu życia, ale także z faktu, że świadomym celem życia jest przejawienie się, a sztuka dostarcza mu pięknych form do wyładowania tej właśnie energji. Z tego wynika, że i natura naśladuje sztukę. Jedynie efektowne momenty, na jakie natura wobec nas zdobyć się może, są te, które już znamy z poezji i malarstwa. Ostatnia teorja brzmi, że mówienie pięknych fałszów jest właściwym celem sztuki.

Drugi djalog pt. „Krytyk jako artysta, oraz kilka uwag o doniosłości próżnowania“, w najogólniejszym zarysie wygląda tak: Trudniej o czemś mówić, niż coś zrobić, a najtrudniej nie robić nic zgoła. Wszelka sztuka jest niemoralna, a wszelka myśl niebezpieczna; krytyka jest twórcza w wyższym stopniu, niż twórczość, a najwyższą twórczością jest ta, która w dziele sztuki odkrywa, czego twórca wcale w nie nie wkładał. Nie umiejąc czegoś dokonać, niejeden jest właśnie dlatego powołany na krytyka; krytyk prawdziwy jest niesprawiedliwy, nieszczery i nierozsądny.

Djalogi powyższe, tryskające płomieniami ciętych paradoksów, odznaczające się szturmującą siłą prawd i nieprawd w rzeczach sztuki, poprzedzone są przedmową A. Nowaczyńskiego, który żywo i żwawo przedstawia „ dole i niedole lorda Paradoxa“. Książka wydana wytwornie.

M. E. Delle Grazie: Miłość i inne opowiadania; tłóm. Ewa Abramowiczowa. Albin Staudacher i Sp. Stanisławów. Str. 157. Nakładem księgarni pod firmą A. Staudacher i Sp. w Stanisławowie — nawiasem mówiąc, bardzo ruchliwej ostatnimi czasy — wyszła książka pt. „Miłość“ Delle Grazii. Nazwisko autorki „Hermana“ eposu pt. „Robespierre“, dramatów: „Saula“, „Cieni“ i. w. i. u nas dość znane, w Niemczech sławne.*) „Miłość“ — to zbiór nowel, których leitmotywem: miłość, z różnych oświetlona punktów.

Jako motyw, czy problem psychologiczny — nie oryginalnie pojęta. Formalnie duży talent narracyjny czy poetycki, dużo ciepła w tonie, powiedziałbym: dużo idylli, charakterystyczna bowiem jest, że poetka ustawia „sujet“ w oddali perspektywicznej, nie przedstawia nam miłości bezpośrednio, jeno o niej opowiadać każe danym osobom. Środek techniczny przestarzały, a wrażenie osłabiający. Może najlepszą z nowel jest „Pieśń gminna“ (tytuły wogóle napuszyste) i „Matka“ -- ogromnie dramatyczna, technikę ibsenowską transponująca na nowelę.

Tłómaczenie pióra p. Abramowiczowej — odliczywszy znaczną część błędów na karb wadliwej korekty — dobre. Wydanie zewnętrzne nadzwyczaj staranne, wprost wykwintne.

J. Mirski.

*) Dzieła jej wyszły zbiorowo w Lipsku r. 1903 w 9 tomach.

Drukiem W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika l. 5.